

 HARLEQUIN®

POWIEŚĆ
Historyjerna

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

SUSAN
WIGGS

CIENIE PRZESZŁOŚCI

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [BezKartek](#).

Susan Wiggs

Cienie przeszłości

Tłumaczenie:

Ewa Bobocińska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyspa Whidbey, Washington, 1894 rok

- Nie krzycz, bo będę strzelać - mruknął ostrzegawczo niski głos.

Wyrwana ze snu Leah Mundy otworzyła oczy i spojrzała w lufę pistoletu.

Panika sprawiła, że oprzytomniała w jednej chwili.

- Nie będę krzyczeć - zapewniła. Zaschło jej w ustach, ale dzięki pracy, jaką wykonywała, umiała panować nad strachem. Lufa colta załśniła bladoniebiesko w świetle błyskawicy. - Proszę, nie rób mi krzywdy. - Jej głos załamał się, ale nie drżał.

- To zależy od ciebie, kobieto. Rób, co mówię, to nic złego ci się nie stanie.

- Kim jesteś? - zapytała. - I czego chcesz?

- Kim jestem? Człowiekiem z bronią. A czego chcę? Doktora Mundy'ego. Szyld głosi, że tutaj mieszka.

Odległy grzmot zabrzmiał głucho, jakby w odpowiedzi na dudnienie jej serca. Z wysiłkiem zapanowała nad przerażeniem.

- Doktor Mundy rzeczywiście tutaj mieszka.

- To idź po niego.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

Przełknęła, starała się zebrać myśli. Bez powodzenia.

- Bo nie żyje. Umarł trzy miesiące temu.

- Szyld informuje, że doktor Mundy tutaj mieszka - warknął mężczyzna ochrypłym z gniewu głosem.

- Szyld nie kłamie. - Deszcz zaczął bębnić o szyby. Leah starała się przeniknąć wzrokiem mrok. Ale za lufą pistoletu majaczyła tylko niewyraźna, ciemna sylwetka intruza. Z głębi korytarza dobiegało głośnie chrapanie. Skierowała spojrzenie w tamtą stronę.

Myśl, myśl, myśl, powtarzała sobie w duchu. Może uda się zaalarmować jednego z pensjonariuszy?

Lufa pistoletu trąciła jej ramię.

- Na litość boską, kobieto, nie mam czasu bawić się w zgadywanki...

- To ja jestem doktor Mundy.

- Co?

- Doktor Leah Mundy. Mój ojciec również był lekarzem. Mieliśmy wspólną praktykę. Teraz zostałam tylko ja.

- Tylko ty.

- Tak.

- I jesteś lekarzem.

- Jestem.

Wysoka postać poruszyła się niecierpliwie. Leah poczuła zapach deszczu i soli. Deszczu, morskiej wody i czegoś jeszcze... desperacji.

- W takim razie musisz mi wystarczyć. Zbieraj swoje przyrządy, kobieto. Pójdiesz ze mną.

Podciągnęła kołdrę pod samą szyję.

- Proszę o wybaczenie.

- Będziesz prosiła o swoje nędzne życie, jeśli nie ruszysz się natychmiast.

Pogróżka w głosie mężczyzny zabrzmiała jak trzaśnięcie bata. Leah nie próbowała dyskutować. Trzy lata spędzone z ojcem w Deadwood w Dakocie Południowej nauczyły ją respektowania pogróżek uzbrojonych mężczyzn.

Ale nie nauczyły ją respektu dla mężczyzn jako takich.

- Odwróć się plecami, żebym mogła się ubrać - powiedziała.

- Durna wymówka, nawet jak na babę lekarza - mruknął. - Nie jestem taki głupi, żeby odwracać się plecami.

- Każdy, kto tyranizuje bezbronnych, jest głupi - warknęła.

- Ciekawe... - odparł spokojnie i lufą colta zsunął z niej kołdrę. - Ale dzięki temu prawie zawsze osiągam to, co chcę. A teraz rusz się.

Leah odrzuciła kołdrę i wsunęła stopy w mocne buciory, które wkładała, wybierając się na wizyty domowe. Wiosny na wyspie były zazwyczaj deszczowe, a ona nigdy nie starała się nadążać za modą. Narzuciła na siebie szlafrok i mocno zawiązała pasek w talii.

Próbowała sobie wmówić, że to zwyczajna nocna wizyta lekarska. Próbowała nie myśleć o tym, że została wyrwana ze snu przez człowieka z bronią.

Niech go lichy! Jak śmiał?!

- Jesteś chory? - zwróciła się do rewolwerowca.

- Nie, do diabła. Nie jestem chory - warknęła. - Chodzi o... kogo innego.

Owo wahanie osłabiło gniew Leah. Przekonała się już niejednokrotnie, że ludzie, którzy zastraszały innych, najczęściej działali pod wpływem lęku.

- Muszę pójść do gabinetu po przyrządy.

- Gdzie ten gabinet?

- Na parterze, naprzeciw kuchni. - Otworzyła drzwi i odważyła się rzucić spojrzenie na korytarz. Pan Battle Douglas miał lekki sen, ale wbrew bojowemu imieniu nie wiedziałby, jak się zachować wobec uzbrojonego intruza. Wiedziałyby najprawdopodobniej nowo przybyły Adam Armstrong, ale przystojny handlarz drewnem mógł być w zмовie z rewolwerowcem. Ciotka Leafy wpadłaby tylko w histerię, a Perpetua musiała mieć na względzie swojego małego synka. Jeśli zaś chodzi o starego Zeke'a Pomfrita, to mógł złapać swoją antyczną strzelbę i przyłączyć się do porywacza.

Rewolwerowiec trącił ją lufą w zębra.

- Tylko nie zrób czegoś głupiego, kobieto.

Leah zrezygnowała z pomysłu obudzenia domowników. Nie mogła tego zrobić. Nie mogła narazić ich na niebezpieczeństwo.

- Zwracaj się do mnie doktor Mundy - rzuciła przez ramię i trzymając się poręczy zaczęła schodzić. Mężczyzna ruszył za nią. Krople wody z jego długiego prochowca kapały na pokrywający schody chodnik.

- Nie jesteś kobietą? - zapytał cicho, z dziwnie gniewną nutą w głosie. Jego usta znalazły się zdecydowanie zbyt blisko ucha Leah.

- Nie dla ciebie.

Poprowadziła go do ciemnego gabinetu, który zajmował całe południowe skrzydło domu. Sięgnęła po zapałki, żeby zapalić lampę w nieskazitelnie czystym pomieszczeniu. Jej ręce trzęsły się tak bardzo, że jej gniew odżył. Gdy zasyczał białoniebieski płomień, Leah odwróciła się i przyjrzała porywaczowi. Strzecha mokrych, złocistych jak siano włosów i szczupłe, ogorzałe od wiatru policzki z kilkudniowym zarostem. A na kości policzkowej stara blizna. Oczu nie zdążyła dostrzec, bo mężczyzna opuścił rondo ociekającego wodą kapelusza.

- Jakiego rodzaju dolegliwości mam leczyć? - zapytała.

- Nie wiem, do licha. To ty jesteś lekarzem.

Leah powiedziała sobie, że powinna już być uodporniona na wątpliwości i kpiny. Ale do niektórych rzeczy nie sposób przywyknąć. Na przykład do tego, że ludzie - nawet ten niebezpieczny osobnik kryjący się za lufą pistoletu - uważali, że płęć miała jakikolwiek wpływ na umiejętność leczenia.

- Jakie są symptomy? - Podniosła klapę swej brązowej, skórzanej torby lekarskiej i sprawdziła jej zawartość. Zakorkowane fiołki z maruną, chininą, digitalisem, kwasem węglowym do dezynfekcji. Kryształki morfiny i chloroformu. Instrumenty do usuwania zębów i oczyszczania jątrzących się ran. Stetoskop i termometr lekarski wysterylizowany w chlorku rtęci oraz strzykawka do

podawania leków dożylnie.

- Symptomy? - powtórzyła pytająco.

- Chyba... gorączka. Skurcze żołądka. Majaczenie. I jeszcze kichanie i kaszel.

- Plucie krwią? - zapytała ostro Leah.

- Nie. Bez krwi.

To mogły być objawy wielu chorób, w tym śmiertelnie groźnego dyfterytu. Włożyła do torby kilka fiolek z chlorkiem amonu, po czym zdjęła z haczyka na drzwiach swój płaszcz przeciwdeszczowy.

- Jestem gotowa - oświadczyła. - I pozwolę sobie zauważyć, że prowadzenie mnie pod bronią nie jest konieczne. Leczenie ludzi to moje powołanie. Nie trzeba mi grozić, żebym poszła do chorego.

Mężczyzna nie schował jednak broni. Wręcz przeciwnie, odsunął połą płaszcza, żeby pokazać jej drugi pistolet. Pas z kaburą - pociemniałą od tłuszczu, którym została nasmarowana, żeby szybciej wyjmować broń - otaczał szczupłe biodra w drelichowych spodniach. Przy pasie znajdowały się zapasowe naboje. Najwyraźniej porywacz nie należał do ludzi przyzwyczajonych dostawać to, o co prosili. Machnął pistoletem w stronę tylnego wyjścia i dał Leah znak, by szła przodem.

Przez przyległą do gabinetu poczekalnię wyszli w noc. Czując za plecami przytłaczającą obecność potężnego mężczyzny, słyszała jego oddech.

- Czy to daleko? - zapytała, wskazując mającą w mroku ciemną bryłę wozowni. - Przyda się dwukółka?

- Nie - odparł. - Idziemy do portu.

A więc to żeglarz. Może pirat? Wyspa Whidbey widywała przemytników, którzy panowali na wodach cieśniny Puget aż do wybrzeża Kanady. Przerażał ją, ale potrzebował pomocy. I tylko to się liczyło. Przysięga lekarska zobowiązywała. Tak już wyglądało jej życie. W głowie zabrzmiał jej szydery głoś ojca: „Leah Jane Mundy, kiedy ty wreszcie się ustatkujesz i wyjdiesz za mąż jak normalna kobieta?”.

Deszcz bębnił niemiłosiernie o kaptur przeciwdeszczowego płaszcza Leah. Wdepnęła w kałużę i jej gruby but ugrzązł na moment w błocie. Obejrzała się na pensjonat. Wiatr poruszył szyldem zawieszonym nad gankiem. W słabym świetle gazowej latarni, którą Leah zawsze trzymała zapaloną, białe litery były ledwie widoczne, a jednak nieznajomy zdołał je odczytać: Doktor Mundy, lekarz. Pokoje do wynajęcia.

- Rusz się, kobieto - rozkazał rewolwerowiec.

We wszystkich oknach była ciemność. Nikogo w polu widzenia; poza nieznajomym, który trzymał ją na muszce i dźgał lufą w plecy, żeby się pośpieszyła.

Kim był ten człowiek, do diabła?

Rising Star, Teksas, rok 1894

- Przedstawił się jako Jack Tower - powiedział szeryf, zdejmując źle dopasowane okulary. - Oczywiście istnieje duże prawdopodobieństwo, że to fałszywe nazwisko.

- Uh-hu. - Joel Santana przesunął stwardniałą, pokrytą odciskami ręką po szorstkim jak skórzany but policzku. Tam do licha! Nie mógł się już doczekać, kiedy odwiesi na kołek pistolety i ostrogi, a tu taka historia. Przez tyle wieczorów snuł marzenia o własnym kawałku soczyście zielonej ziemi, o stadku owiec i dobrej kobiecie o rozłożystych biodrach i szerokim uśmiechu...

Założył jedną obolałą nogę na drugą i w zamyśleniu kręcił młynka palcami.

- Więc mówisz, że zbieg dał nogę sześć tygodni temu?

Szeryf Reams położył okulary na leżącej na biurku ręcznie narysowanej mapie.

- W sobotę będzie sześć tygodni.

- Dlaczego zwlekałeś z wezwaniem mnie? - Joel uniósł dłoń do góry. - Nieważne, znam odpowiedź. Ty i twój zastępca macie tu wszystko pod kontrolą. Po raz pierwszy zdarzyło się, że ktoś wam uciekł, tak?

- Rzeczywiście, szeryfie, to prawda.

- Uh-hu. - Zawsze to samo. Ci amatorzy z reguły czekali, aż ich opryszek czmychnie poza granice stanu i ostygnie po nim ślad. Dopiero wtedy wzywali szeryfa federalnego. - Cóż, lepiej weźmy się do roboty. Więc powiadasz, że ten człowiek, Jack Tower, zamordował burmistrza Rising Star?

Reams zmrużył oczy.

- Zrobił to, do licha! W ogóle wyglądał podejrzanie. Jakby nie miał na świecie ani jednego przyjaciela i jakby mu na tym nie zależało.

- Kto był świadkiem morderstwa? - zapytał Joel.

Reams zawahał się, co wzbudziło podejrzenia szeryfa stanowego.

- Nie zgłosił się żaden świadek. Przywieź tego desperata z powrotem i powieś go na najwyższej gałęzi.

- Wieszanie ludzi nie należy do moich obowiązków, szeryfie. - Joel wstał, jego stawy zaskrzypiały w proteście. Zbyt wiele lat spędził w siodle, całkiem zniszczył kolana.

- Co to ma znaczyć, u licha?

Joel położył płasko dłonie na stole i przyjrzał się mapie Teksasu.

- Ja tylko dostarczam ściganych listem gończym przestępców. I tego Towera także przywiozę. Jego wina czy niewinność to już nie nasza spawa. O tym decyduje sędzia i ława przysięgłych. Nie zapominaj o tym, kolego.

- Nie zapomnę.

Ale Santana wiedział, że zapomni. Gdyby Jack Tower nie uciekł, to prawdopodobnie dyndałby już na najwyższej gałęzi ku uciesze sędów.

- Więc co masz?

Szeryf podniósł mapę i odsłonił naszkicowany tuszem portret mężczyzny o prostych, jasnych jak słoma włosach, z brodą i wąsami. Jeden z jego policzków przecinała blizna. Rzeczywiście, wyglądał podejrzanie.

- Tak wygląda ten ptaszek. Niewiele zostawił za sobą śladów. Jedynie puszkę tytoniu Underhill Fancy Shred Tobacco i połówkę złamanego guzika od koszuli. - Reams podał dowody szeryfowi stanowemu. Po chwili dołączył do nich niewielką fotografię. - Och... a to kobieta, z którą uciekł. Nazywa się Caroline Willis.

- To moja... żona.

Leah zwróciła uwagę na wahanie w głosie porywacza przed słowem „żona”. Zastanawiała się, dlaczego tak proste stwierdzenie nie padło z ust nieznanego bez oporów. Niejednokrotnie była obecna przy śmierci kobiet, których mężowie stali obok i wyłamywali ręce. Niewiele było bardziej przejmujących widoków niż mężczyzna, który wie, że wkrótce straci żonę. Zawsze byli skołowani, oniemiaли i bezradni.

Zerknęła przez ramię na rewolwerowca. Nawet w słabym świetle okrętowej lampki nie wyglądał na bezradnego. Ani trochę. W porcie zmusił ją, by wsiadła do niewielkiej szalupy. Położył pistolet na kolanach, zacisnął ręce na wiosłach i ruszył w szalonym tempie. W parę chwil dotarli do długiego szkunera, który stał na kotwicy na pełnym morzu.

Maszty statku trzeszczały podejrzanie na porywistym wietrze. Leah wzdrygnęła się i zaczęła schodzić po drabinie pod pokład statku. W luksusowej niegdyś kajucie na rufie unosił się zapach mokrych lin, zbutwiałego płótna żaglowego i spróchniałego drewna.

Luk pokładowy w grodzi rufowej otwierał się i zamykał z łomotem w porywach wiatru. Kilka śrub i muter toczyło się po podłodze. Ktoś - zapewne ten wyjęty spod prawa oprych - pracował nad naprawą kwadrantu sterowego lub steru.

Próbował go prowizorycznie przywiązać postrzępioną liną, która wychodziła na zewnątrz przez luk, jakby dokonywał reperacji w pośpiechu – albo nie zdawał sobie sprawy z siły sztormów w cieśninie Puget.

Żona nieznanego leżała na koi w alkwie, na świeżo wypranych muślinowych prześcieradłach, z głową wspartą na puchowej poduszce. Miała zamknięte oczy i bladą twarz. Nagle Leah przestała dostrzegać zdezelowany statek i minioną świetność luksusowej kabiny kapitańskiej. Opuścił ją strach i gniew. Całą uwagę skupiła na pacjentce. Nie patrząc na porywacza, dała mu znak gestem, by przyniósł lampę. Usłyszała, jak piekielnik zazgrzytał zębami, a zaraz potem do jej uszu dotarł syk zapalanej lampy. Podszedł bliżej ze światłem.

– Trzymaj lampę nieruchomo – poleciła Leah. – Jak jej na imię?

Kolejna chwila wahania.

– Carrie – padła burkliwa odpowiedź.

Obserwacja. To podstawa leczenia. „Po pierwsze nie szkodzić”. Całe pokolenia lekarzy ignorowały tę zasadę, kłuli pacjentów, przystawiali im pijawki, puszczały krew i stawiali bańki, dopóki chorzy nie zmarli albo nie wrócili do zdrowia z czystego zniecierpliwienia. Dzięki Bogu, w obecnych czasach kompetentni lekarze najpierw przyglądali się, obserwowali i zadawali pytania.

Więc obserwowała. Pograżona we śnie kobieta wyglądała niemal jak dziecko. Pod prawie przezroczystą skórą rysowały się delikatne kości twarzy i dłoni. Jasne jak u Skandynawów włosy tworzyły wokół drobnej twarzy aureolę. Wyschnięte wargi były zaciśnięte w wąską linię. Krucha, bezbronna, uderzająco piękna dziewczyna zdawała się nie oddychać.

Wyglądała tak, jakby była na granicy śmierci.

Leah rozpięła guziki płaszcza, zsunęła go z ramion i podała do tyłu. Nieznajomy zabrał go od niej, dopiero wtedy gdy niecierpliwie potrząsnęła ręką.

– Carrie? – odezwała się. – Jestem doktor Mundy. Przyszłam ci pomóc.

Żadnej reakcji.

Leah dotknęła wierzchem dłoni jej policzka. Dziewczyna miała gorączkę, ale nie na tyle wysoką, by na jej bladych policzkach pojawiły się wypieki. Termometr nie będzie potrzebny.

Delikatnie uniosła powiekę chorej. Tęczówka miała cudowny odcień błękitu, żywy jak farbka na porcelanie. Źrenica prawidłowo zareagowała na światło.

– Carrie? – Leah ponownie zwróciła się do pacjentki po imieniu, gładząc równocześnie jej smukłą dłoń. – Słyszysz mnie?

Znów brak reakcji. Skóra dłoni była sucha, pozbawiona sprężystości. Co

świadczyło o odwodnieniu.

- Kiedy ostatnio odzyskała przytomność? - zwróciła się do mężczyzny.

- Nie jestem pewien. Chyba dziś po południu. Ale gadała od rzeczy. Kompletnie bez sensu. - Cienie poruszyły się, gdy przysunął się z lampą bliżej. - Co jej jest? Wyzdrowieje? - W jego głosie dawało się wyczuć napięcie.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby dowiedzieć się, co jej dolega. Kiedy ostatnio coś jadła i piła?

- Dziś rano dałem jej trochę herbaty z miodem. Zwymiotowała to i nic więcej nie chciała wziąć do ust. Poza... - Urwał i głośno wciągnął powietrze.

- Poza czym?

- Poza swoim tonikiem. Poprosiła o swoje lekarstwo.

Leah grzebała w torbie w poszukiwaniu stetoskopu.

- Co to za środek?

- Jakiś eliksir w butelce.

Eliksir. Pewnie olejek wężowy albo może środek przeczyszczający w rodzaju kalomelu, pomyślała Leah. To było przez lata podstawowe źródło utrzymania jej ojca. Ona sama nie należała do tego typu lekarzy. Znalazła wreszcie stetoskop.

- Będę musiała przebadać ten jej tonik.

Sprawdziła słuchawki i zawiesiła je na szyi. Szybko rozsunęła koszulę. Kolejny raz zaskoczyła ją czystość pościeli i nocnej bielizny chorej. To zupełnie nie pasowało do kobiety człowieka wyjętego spod prawa. Rewolwerowiec, który robił pranie?

Przyłożyła płaską końcówkę stetoskopu do piersi Carrie, wstrzymała oddech i słuchała. Rytm serca był przyspieszony. Płuca tylko odrobinę zajęte. Leah przesuwiała stetoskop powoli i uważnie. Trudno było cokolwiek usłyszeć, bo sztormowe fale nieustannie uderzały o kadłub statku, a gdzieś z dołu dobiegał chłupot wody.

Obmacała okolice szyi i pach w poszukiwaniu oznak infekcji. Potem przesunęła rękę niżej i znieruchomiła, kiedy wyczuła niewielkie stwardnienie.

- No? - burknął nieznajomy. - Co jej jest?

Leah wyjęła z uszu słuchawki, stetoskop opadł jej na piersi jak naszyjnik.

- Kiedy zamierzałeś mnie poinformować?

- O czym? - Szeroko rozłożył ramiona, autentycznie zaskoczony. Leah uznała to jednak za grę.

- Że twoja żona jest w ciąży?

Rozdziawił usta i załamał rękę. Oparł się o ścianę.

- W ciąży.

Leah przechyliła głowę na bok.

- Z pewnością wiedziałeś.

- Ja... - Przesunął ręką po twarzy. - Nie. Nie wiedziałem.

- Trzy miesiące.

Zwykle Leah z radością przekazywała takie informacje. Zawsze udzielała jej się radość i zachwyty, które malowały się w oczach młodego małżonka. W takich chwilach własne życie wydawało się jej mniej jałowe i samotne - choćby tylko przez moment.

Ale w nieznanym nie dostrzegła ani krzty radości i zachwyty. Jego ponura twarz skamieniała. Zupełnie nie wyglądał jak mężczyzna, który właśnie dowiedział się, że będzie ojcem.

- Poza tym nic złego jej nie jest? - odezwał się w końcu.

- To nic „złego”, że twoja żona jest w ciąży.

Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał z nią polemizować.

- Chodziło mi o to, czy poza tym wszystko jest w porządku?

- Raczej nie.

- Co? - zapytał ochryple.

- Co? Przede wszystkim ta łódź prawie tonie. - Rzuciła znaczące spojrzenie na ster, który zdawał się wisieć na jednej nitce, a raczej na przesiąkniętej wodą linie, żeby być precyzyjnym. Toczone przez robaki drewniane śruby turlały się po podłodze. W uszczelnieniach kadłuba były widoczne duże ubytki. Lina utrzymująca maszt napięła się ze skrzypieniem. - To nie jest miejsce dla pacjentki w jej stanie. Trzeba ją stąd zabrać. - Leah zwinęła stetoskop i schowała go do torby lekarskiej. - Jak tylko przestanie padać, przenieś ją do pensjonatu. Połóżmy ją do łóżka i...

- Widzę, że nie rozumiałaś - oświadczył mężczyzna irytująco przeciągłym tonem.

Wykrzywiła się do niego.

- Czego nie rozumiałam?

Zatknął kciuk za pas z bronią i przebiegł palcami po kieszonkach z nabojami.

- Jedziesz z nami.

Przeszył ją zimny dreszcz, ale dołożyła starań, aby nie okazać trwogi. A więc to dlatego uprowadził ją pod groźbą broni. Ten wyjęty spod prawa bandzior zamierzał wyrwać ją z jej świata i przenieść do swojego.

- Ot tak? - zapytała chłodno. - Nie prosisz mnie nawet o zgodę?

- Nigdy nie proszę o zgodę. Zapamiętaj to sobie.

Leah zajęła się porządkowaniem torby, zanim zdążyła skończyć, doprowadziła się już do białej furii.

Poderwała się na nogi tak błyskawicznie, że mężczyzna mimowolnie sięgnął po broń. Stara łądź zatrzeszczała złowieszczo.

- Nie, nie rozumiesz, mój panie - oświadczyła Leah. - Nie mam zamiaru nigdzie z tobą jechać, szczególnie tą rozpadającą się łajbą. Będę leczyła twoją żonę, jeśli przywieziesz ją do pensjonatu, gdzie spokojnie powróci do zdrowia.

Leah starała się nie wzdrygnąć, kiedy wycelował w nią broń.

- Tutaj również powróci do zdrowia pod twoją opieką - oznajmił.

Spojrzała na już aż nazbyt dobrze sobie znaną błękitną lufę i pełen odcisków palec złowieszczo spoczywający na spuście.

- Niech ci się nie zdaje, że zdołasz mnie zastraszyć. Nie pozwolę się tyranizować. Nie ma mowy. Czy to jasne?

Przesunął po niej leniwym spojrzeniem i zatrzymał wzrok na dłoniach, tak kurczowo ściskających torbę lekarską, że aż kłykcie zbieleły.

- Jasne jak słońce w Denver, proszę pani.

Nienawidziła tego kpiącego tonu.

- Człowieku, jeśli chcesz dać żonie szansę na powrót do zdrowia, to pozwolisz mi teraz odejść, a kiedy przestanie padać, przywieziesz ją do mojego domu, gdzie będę mogła zapewnić jej odpowiednią opiekę.

- Twierdziłaś, że jesteś doktorem. Jak to możliwe, że potrafisz leczyć ludzi jedynie w swoim bogatym domu?

Bogatym? O mało nie parsknęła gorzkim śmiechem. Gdzie ten człowiek mieszkał, skoro uznał jej pensjonat za bogaty?

- Nie zamierzam dyskutować z tobą na ten temat.

- Doskonale. Ja również nie jestem zwolennikiem dyskusji.

- Dobrze. W takim razie...

- Zajmij się Carrie, ja idę na mostek przygotować się do podniesienia kotwicy.

Czerwona mgła przesłoniła jej oczy, zacierając wszystko, nawet znienawidzoną lufę pistoletu.

- Nie zrobisz tego - powiedziała. Nie podniosła głosu, zapanowała nad furia, a jednak mężczyzna musiał wyczuć jej cichą wściekłość. Zmarszczył czoło i opuścił broń. Popatrzył na Leah z pewnym zaskoczeniem.

- Kobieto, jak na kogoś, kto znajduje się po niewłaściwej stronie lufy, jesteś zadziwiająco wygadana.

- Człowieku, chyba nie chcesz tak po prostu zabrać mnie z domu i wypłynąć czymś takim w morze.

Szerokim gestem wskazała wewnątrz statku, rzeczywiście w opłakanym stanie. Jej oczy przykuła wystrzępiona lina pod sufitem kajuty; lina znikła we włazie, najwyraźniej była przywiązana gdzieś wyżej.

- Słonko, ja wcale nie chcę wykraść cię z domu - odparł impertynencko. - Ja tylko potrzebuję doktora dla Carrie.

Zrobił krok do przodu i Leah po raz pierwszy miała okazję zobaczyć jego oczy. Zimne, w szaroniebieskim kolorze, zbliżonym odcieniem do lufy jego colta. Oczy o tak przenikliwym spojrzeniu, jakby mężczyzna widział więcej, niż chciała mu pokazać. Leah odniosła dziwne wrażenie - jakby porwał ją przyływ i ciągnął w kierunku, w którym nie chciała pójść, ale nie mogła się oprzeć.

Nie. Nie ulegnie temu człowiekowi.

- Nie możesz mnie zmusić, żebym z tobą popłynęła. - Wymownie spojrzała na trzaskającą klapę włazu. Na pokładzie nad ich głowami wiatr zawodził ponuro w wantach. - Ta łajba nie nadaje się do wyjścia w morze. Co z ciebie za żeglarz, że wybrałeś się czymś takim w rejs...

- Zamknij się. - Jednym susem znalazł się przy niej i przyłożył lodowaty wylot lufy do jej skroni. - Po prostu się zamknij. Jak Carrie wyzdrowieje, wsadzę cię na statek płynący na wyspę. I będziesz mogła iść do diabła - dodał pod nosem.

Lodowaty dotyk lufy przeraził Leah, ale nie zamierzała tego okazać.

- Nie popłynę z tobą - oświadczyła stanowczo. Ten człowiek nie miał pojęcia, jaka potrafiła być zdeterminowana. Nie zdoła jej złamać. - Mam dużo obowiązków w Coupeville. Dwie moje pacjentki lada dzień spodziewają się rozwiązania. Opiekuję się chłopcem, którego koń kopnął w głowę. Nie mogę wyjechać sobie ot tak, dla kaprysu, jako prywatny lekarz twojej żony.

- Dobrze. - Cofnął lufę od jej skroni.

Rozpromieniła się z ulgi i zrobiła krok w stronę drzwi.

- Cieszę się, że przyjąłeś do wiadomości powody...

- Tak, wiem. Powody. - Złapał ją za ramię i wepchnął z powrotem do kajuty. - Bierz się do roboty, kobieto, bo inaczej postaram się, żebyś już nigdy nie zobaczyła swoich pacjentów.

Wyszedł. Leah usłyszała zgrzyt zasuw i zrozumiała, że zamknął ją w kajucie ze swoją żoną.

Jackson Underhill stanął na dziobie starego szkunera i spojrzał w niebo. Biała

błyskawica rozdarła ciemność. Po chwili z gardzieli niebios rozległ się ogłuszający grzmot. Zupełnie jak ostrzeżenie. Znad morza nadciągał sztorm. W taką pogodę samo przebywanie na dworze było szaleństwem, nie mówiąc już o żeglowaniu w tak ciemną noc.

Ale Jackson nigdy nie słuchał ostrzeżeń, nawet płynących prosto z nieba. Schował pistolet do naoliwionej kabury i zapiął prochowiec. Skrzywił się, gdy gwałtowny podmuch wiatru rozchylił poły. Ten płaszcz był przeznaczony do jazdy konnej, nie do żeglowania po morzu. Wszystko wydarzyło się tak nagle, zmiany zachodziły w takim tempie, że nie miał czasu ani głowy do zaopatrzenia się w odpowiednią odzież.

Walcząc z wiatrem, postawił żagle. Zaskrzypiały w proteście, zbutwiałe płótno załopotowało. Miał nadzieję, że statek nie rozpadnie się przed przybiciem do brzegu Kanady. Naprawiał akurat ster, gdy Carrie zachorowała, i zdołał jedynie zapobiec jego wypadnięciu, przywiązując go liną do koła sterowego. W najgorszych koszmarach sennych żaglarzy sztorm spychał pozbawiony steru statek na brzeg. Jednostka odwracała się na wietrze, zaczynała płynąć do tyłu, a kiedy żagle złapały wiatr od zawietrznej, przyjmowała przeciwny kurs. Statek, kołysząc się na falach, mknął w stronę brzegu z łopotem żagli, bez żadnej kontroli.

Jackson zacisnął szczęki i powiedział sobie stanowczo, że ster wytrzyma. Kiedy znajdą się za granicą, przyjdzie czas na porządną naprawę.

Przez wycie wzmagającego się wiatru usłyszał dobiegające spod pokładu walenie i stłumione krzyki. Właśnie do listy swoich zbrodni dopisał porwanie. Przynajmniej to jedno przestępstwo popełnił po raz pierwszy.

Kiedy potężny podmuch wiatru wydał żagle, Jackson poczuł ulgę. Nieplanowany postój na wyspie Whidbey dobiegł końca i nie kosztował go zbyt wiele. Udało mu się zdobyć lekarza dla Carrie i nie został przyłapany. Co prawda nie takiego doktora się spodziewał, ale nie mógł wybrzydzać.

Kobieta lekarz. Kto by pomyślał! Nie przypuszczał nawet, że to możliwe.

Leah Mundy była ostra, uszczypliwa i wyszczekana, zdecydowanie niesympatyczna.

Ale Jackson naprawdę ją polubił. Nigdy by się do tego nie przyznał i zapewne nie będzie miał ku temu okazji, ale podziwiał hart jej ducha. Kiedy po nią przyszedł, zachowała się nie jak rozhisteryzowana baba, ale jak mężczyzna – a właściwie lepiej od większości znanych mu mężczyzn.

Trochę go gryzło sumienie na myśl o pacjentach, którymi doktor Mundy nie zajmie się jutro, pojutrze ani nawet za trzy dni. Ale potrzebował jej. Carrie jej

potrzebowała.

Ciąża. Carrie była w ciąży. Ta myśl paliła Jacksona żywym ogniem, nie mógł na razie stawić jej czoła, więc odsunął ją od siebie, starał się o niej zapomnieć.

Doktor Mundy pomoże Carrie. Wyleczy ją.

Jackson przypomniał sobie, jak wyglądała, gdy pochyliła się nad pacjentką, aby ją zbadać. Zmieniła się nie do poznania, nieprzyjemna maska opadła, odsłaniając coś wyjątkowego - delikatność i kompetencję, które nieoczekiwanie wzbudziły jego zaufanie.

A Jackson Underhill już od bardzo dawna nie darzył nikogo zaufaniem. Doktor Mundy to się jednak udało. Czy zdawała sobie z tego sprawę? Czy zorientowała się, że widział w niej anioła miłosierdzia?

Postanowił, że kiedy już będą w drodze, podziękuje jej, może nawet ją przeprosi. Przynajmniej tyle był winien kobiecie, którą wywlókł z ciepłego, suchego łóżka i wbrew jej woli wciągnął w przygodę. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla kobiety, którą zamierzał zabrać do Kanady i tam porzucić.

Podniósł kotwicę, podszedł do koła sterowego i wtedy usłyszał uderzenie, a potem świst liny przesuwającej się błyskawicznie po drewnianym bloczku. Obejrzał się i serce mu stanęło. Lina, którą prowizorycznie przymocował ster, wyślizgiwała się.

Wypuścił z rąk koło i rzucił się do liny. Za późno o ułamek sekundy. Zniknęła we wnętrzu kadłuba jak wąż, zanim ją zdążył pochwycić.

- Cholera! - ryknął Jackson, a potem wstrzymał oddech. Może ster pozostanie jednak na swoim miejscu? Może... Przechylił się przez reling na rufie i wyjrzał.

Jego przekleństwa zagłuszyły nawet ryk sztormu. Doktor Leah Mundy, jego anioł miłosierdzia, jego błogosławiona wybawicielka, właśnie zniszczyła mu statek.

Tytuł oryginału: The Drifter
Pierwsze wydanie: Harlequin Books S.A, 1998
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 1998 by Susan Wiggs
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżone.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1111-6

Powieść Historyczna 43

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [BezKartek](#).